

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LIPIEC 2023 | NR 7 (67)

SOCZEWKA PISMA

Odra:
powtórka
z katastrofy?

PORTRET

Terminator
nie mówi jeszcze
hasta la vista

STUDIUM

Springer o kryzysie
klimatycznym
w architekturze

ESSEJ

Lewestam
się nudzi

CENA: 18,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

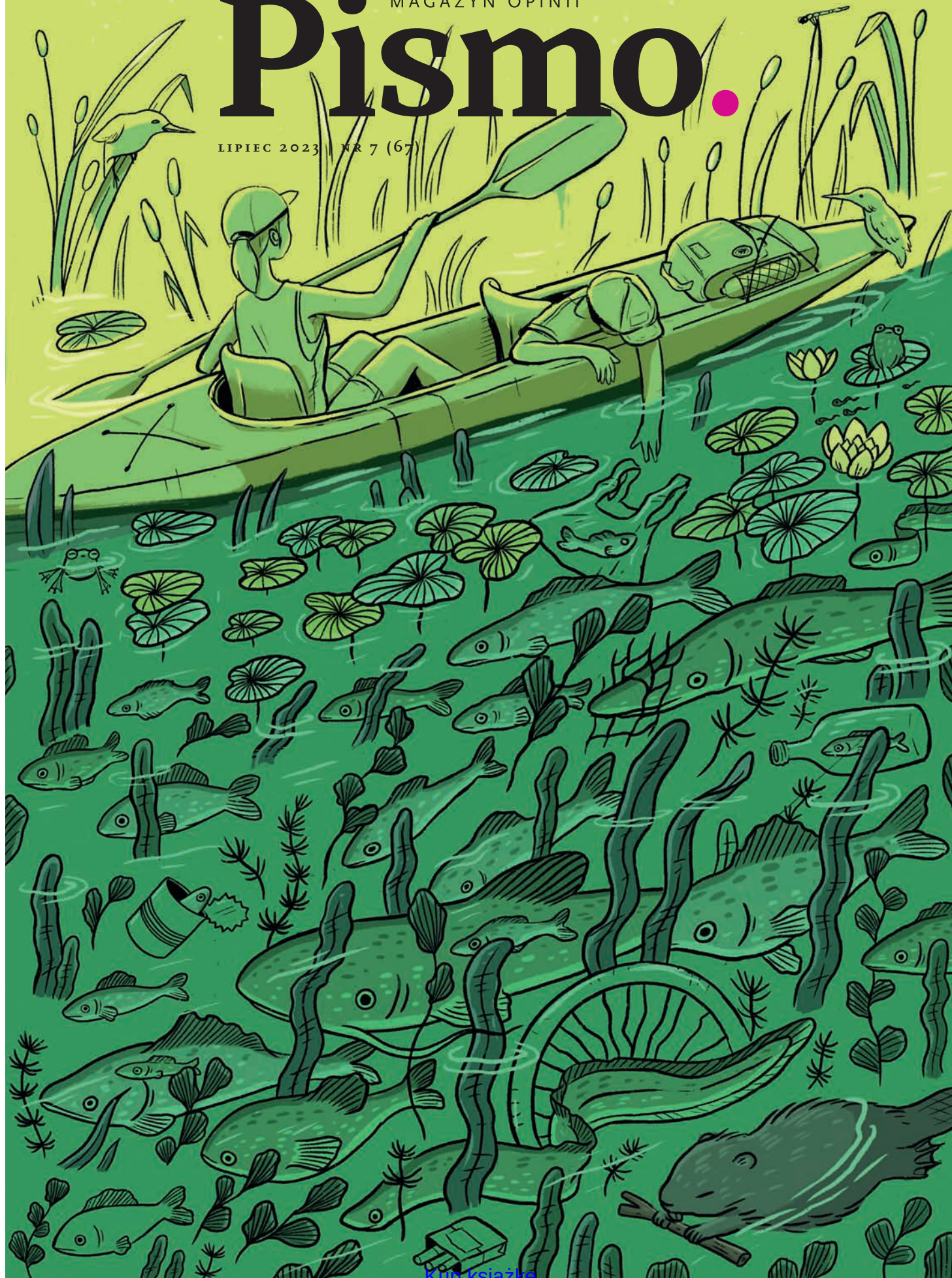


9 772544 502302

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LIPIEC 2023 NR 7 (67)



Kup książkę

Zapisz się na nasze newslettery:

MAGAZYN OPINII
Pismo.

DLA WSZYSTKICH



Aktualności

Czytaj i słuchaj nowych materiałów i podcastów. Raz w miesiącu polecimy Ci nowe treści w serwisie oraz przypomnimy archiwalne teksty, które warto przeczytać w kontekście bieżących wydarzeń.

DLA OSÓB POSIADAJĄCYCH PRENUMERATĘ LUB SAM DOSTĘP ONLINE



Zachwyty

Czytaj rekomendacje kulturalne redaktorki „Pisma”, Zuzanny Kowalczyk, która raz w miesiącu podzieli się osobistymi refleksjami o książkach, nagraniach, spektaklach, wystawach i filmach, które ją ostatnio zachwyciły.



Wybór zagraniczny

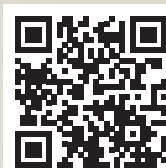
Co w prasie zagranicznej zainspirowało Piotra Nesterowicza, twórcę i wydawcę „Pisma”? Raz w miesiącu wybierze on teksty o technologiach, ekonomii, środowisku, polityce, a przede wszystkim o ludziach, które ukazały się w magazynach „The New Yorker”, „The Atlantic”, „Time” czy „The Guardian Weekly”.



Powody do radości

W cieniu katastrof i konfliktów kryją się informacje, które przywracają wiarę w lepsze jutro. Redaktorka naczelna „Pisma” Magdalena Kicińska szuka ich dla Ciebie co miesiąc.

magazynpismo.pl/newslettery



[Kup książkę](#)

MAGAZYN OPINII Pismo.

LIPIEC 2023

PROZA

Nie będzie innych zakończeń | 6

MARTA DZIDO

Poniewczasie | 90

LISA KRÄNZLER

POEZJA

niewidzialne metamorfozy | 3

AUŠRA KAZILIŪNAITĖ

Ballada o rzece | 79

KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

OBRAZ

W KADRZE | 4

JAN RICHARD HEINICKE

FOTOREPORTAŻ **Kazamatki** | 52

PIOTR TRACZ

SZKIC **Piaggio ciao** | 13

KATARZYNA BELCZYK

W RAMACH PISMA **Geneza III (Burza śnieżna)** | 88

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o PRACY DORY BUDOR

ŻARTY RYSUNKOWE

FILIP ZAWADA

OKŁADKA **Rzeka czeka**

LUIZA KWIATKOWSKA

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Owce i Pan Jezus**

KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | **À propos rzek**

ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

95 | **Co w niej trzyma...**

BARTEK WĄSIK, pyta MATEUSZ ROESLER

SOCZEWKA

14 | **Pic na wodę**

BARTEK SABELA tłumaczy, czemu katastrofa nad Odrą trwa od dawna

STUDIUM

42 | **Dajmy rzekom spokój**

JOANNA RUSZCZYK dowodzi, że sztuczna regulacja rzek to błąd

62 | **Zmiana najważniejszego pytania**

FILIP SPRINGER pyta o miejsce architektury wobec katastrofy klimatycznej

PORTRET

70 | **Ostatni akt Arnolda Schwarzeneggera**

MARK LEIBOVICH z wizytą u byłego kulturysty, aktora i gubernatora

ESEJ IDEE

80 | **Smutek rosołu, czyli o nudzie**

KAROLINA LEWESTAM próbuje odnaleźć sens w udręce codzienności

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarstwo redakcji:** Katarzyna Kazmierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Magdalena Salik, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Ewa Pluta, Iga Gromska
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz, **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, **Marketing:** Mateusz Roesler, **Promocja:** Ewa Salamon,
E-commerce: Anna Ostrowska, **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, **Fundraising:** Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.,

w tym roku w miesiącu pierwszych komunii stanęłam przed problemem. Jakie życzenia napisać dziewczynce, skoro ja, jej kuzynka przed trzydziestką, w żadnego Pana Jezusa już nie wierzę? Mogłabym wprawdzie kupić kartkę z gotowymi życzeniami i machnąć ręką, bo kto by się przejmował, na pewno nie kuzynka, ale o mnie tu jednak też będzie chodzić.

Co napisać dziewczynce, którą sama kiedyś byłam? Że z tym Panem Jezusem to taka faza i ci się zmieni? Że dorośniesz i zrozumiesz, jakim jest toksycznym przyjacielem, więc teraz ciesz się z prezentów i imprezy?

Co innego kłócić się o religię (bo o samo istnienie Boga nie mam odwagi) z rodzicami czy wujkami, co innego z dziewięciolatką w białym komunijnym stroju. Albo z babcią. Kto jak kto, ale one dwie zasługują na swojego Pana Jezusa.

Więc koniec końców, wychodzę na obrończynię prawdziwej wiary. Piszę: „Pamiętaj, że Pan Jezus zawsze Cię kocha”. Chcę jeszcze dodać, że kocha bezwarunkowo. Mam ochotę napisać: „Nie daj się!”, ale nie piszę. Podobno człowiek dojrzały potrafi przyjąć do wiadomości niejednoznaczność świata i jeszcze z tym żyć. Jak? Bo może to wydaje się igraszką, ale idzie o czyjeś życie. Tylko że tym, którzy ubrali kuzynkę w białe szaty, idzie o to samo. Więc jeszcze raz: JAK?

M.

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyk@magazynpismo.pl

Owce i Pan Jezus

Aaaach, droga M.!

Kozy. Albo owce.

A może jednak kozy?

Tak czy siak, twoje pytanie jest dla mnie kolejnym dowodem na to, że jedyną drogą jest udać się w Bieszczady i coś tam wypasać, z dala od cywilizacji, a dokładniej jej ludzkich przedstawicieli. Komplikuja oni bowiem życie niezwykle, a przy tym najczęściej nie miewają z tego powodu wyrzutów sumienia; ba, bywa, że nawet tego nie zauważają. Sytuacja, którą opisujesz, wynika właśnie z nadmiaru ludzi, a ludzie, jak to ludzie, zwykle niosą ze sobą nadwyżkę ludzkich celów, potrzeb i wartości. Wartości te i cele mają w mojej wyobraźni postać ciągnących się za nimi sznurków, więc kiedy zbierze się w jednym miejscu i czasie za dużo ludzi, sprawa się beznadziejnie płacze. Co masz zrobić?

Hm. No więc na pewno musisz uwzględnić sznurki płaczące się za twoją małą kuzynką (nazwijmy ją Anią). Czego jej potrzeba? Twojej przyjaźni, poczucia, że jest dla ciebie ważna. Pewnie potrzebuje też twojej szczerości; dzieci mają nosa do kłamstw i łatwo nie wybaczą. Może więc lepiej mówić jej to, co uważasz za prawdę? Może sama już wątpi, a kiedyś zwątpi całkiem i jeśli nie powiesz nic, to w historii, jaką opowie terapeutce, będziesz jedną ze złego rodzinnego tłumu, który trzymał ją w nieświadomości? Ale z drugiej strony Ania na pewno chce czuć się tego dnia wyjątkowo; w końcu ma białą sukienkę i wianek. I może to nie jest dzień na szczerość, na rady, na wywrotowe nawrócenia. Jeśli akurat wierzy w Jezusa, to pewnie chce usłyszeć, że on ją faktycznie kocha. Może więc lepiej zrobić to, co ostatecznie zrobiłaś. Może.

Są też rodzice. Oni mają nie tylko wartości i cele, ale także prawa. Prawo do wychowania swojej córki w wierze. I tak jak ty nie chciałabyś, żeby łkali na twoim ślubie cywilnym, że unia jest nieboska, tak oni mogą nie chcieć, by kuzynka Ani przy okazji komunii wносиła teatralnie toast do wszechświata i z ogniem w oczach wieszczyla, że Bóg umarł albo że, co gorsza, wcale się nie narodził. „Ciesz się prezentami, dziecko” – wyobrażam sobie ciebie, grzmiącą przy białym stole; „Ciesz się, bo niebo jest puste, puste!”. Taki performans uważam za dozwolony wyłącznie pod płaszczykiem alkoholowego nadużycia, a i wtedy go nie polecam.

Ala przecież i ty masz swoje wartości – prawda wydaje się jedną z nich. Siedzi w tobie mocno jak pestka w awokado; gdyby tak nie było, to w ogóle nie przejęłabyś się sprawą komunijnej kartki. I jeszcze autentyczność – widać, że trudno ci przychodzi hipokryzja. I jeszcze miłość, bo chyba kochasz tę małą dziewczynkę, przecież drżysz o jej życie. Nie chcesz dla niej toksycznego świata, boisz się, że religia złoży jej fałszywe obietnice i każe robić rzeczy, które ją przyniosą. Ciągną się za tobą te sznurki i szarpią cię delikatnie, żebyś krzyczała do Ani: „nie daj się, uciekaj!”.

Ale czym tak naprawdę jest troska? Czy jest ostrą prawdą, czy raczej miękkim dobrem, raczej pozwoleniem na nadzieję? Może tak, w końcu piszesz, że i mała, i babcia „zasługują na swojego Pana Jezusa”. Prawda i dobro mogą stać w sprzeczności; autentyczność i szacunek też.

Droga M., nie ma odpowiedzi na twoje pytanie; zbyt dużo płacze się tu sznurków. Ale nie ma odpowiedzi na prawie żadne takie pytanie, bo tego, co właściwe, nie da się obliczyć. Dzieci idą do komunii z nadzieją i niechętnie, uduchowienie i chciwie; rodzice posyłają je tam asekurancko lub żarliwie, obojętnie lub z zaangażowaniem. Każdy moment jest wyjątkowy, każda Ania inna; każda pełna ludzi sytuacja tworzy nowy, idiosynkratyczny węzeł. Tylko twoja uważność, roztropność i namysł pozwolą ci następnym razem zdecydować, czy napisać „Jezus cię kocha”, czy „Biegnij, uciekaj, wiej!”. Wierzę w ciebie, droga M., wierzę w twoją myśl.

A jeśli myśl zawiedzie, a w Bieszczadach zdesperowani ludzie zajmą wszystkie kozy albo, co gorsza, owce, to możesz zawsze napisać: „Wszystkiego najlepszego z okazji komunii świętej, twoja kuzynka M.”.

Kup książkę

POEZJA

niewidzialne metamorfozy

AUŠRA KAZILIŪNAITĖ

—

czy będziesz mnie kochać
gdy zmienię
płeć zapach
kolor skóry
albo gdy zmieni się pora roku

czy będziesz mnie kochać
gdy stanę się kwiatem albo kamieniem
albo kwiatem
wyrosłym pośród kamieni

a
przy okazji
czy kochasz mnie

w tych okamgnieniach
kiedy rzeczywiście
nimi bywam.

Przetłoczyła Paulina Ciucka

AUŠRA
KAZILIŪNAITĖ

(ur. 1987), poetka litewska. Ukończyła studia historyczne i teologiczne. Obecnie jest doktorantką Wydziału Filozofii Uniwersytetu Wileńskiego. Tematyka jej pracy doktorskiej obejmuje filozofię Michaela Foucaulta i filozofię filmu. Poetka działa jako aktywistka na rzecz praw człowieka. Wiersz pochodzi z tomu *osobista pustka*, który ukazał się właśnie nakładem lubelskiego wydawnictwa Warsztaty Kultury.

Kup książkę



[Kup książkę](#)



W KADRZE

JAN RICHARD HEINICKE | *The Past is the Key to the Future* | 2021–(w trakcie)

Lodowiec Rodan w Alpach Szwajcarskich, sierpień 2021 roku. Łatwo do niego dotrzeć przez przełęcz Furka, od wieków używaną przez podróżników, co pozwala na jego dokładną dokumentację fotograficzną i ułatwia zrozumienie jego wzrostu i cofania się w ciągu ostatnich stuleci. Obecnie rosną pod nim drzewa, tak jak to się działo z lodowcami w Alpach w ciepłych okresach – to znak, że lodowiec zniknie w najbliższej przyszłości. Widoczne na zdjęciu białe plandeki służą głównie do ochrony jaskini znajdującej się pod lodowcem, będącej atrakcją turystyczną.



selected by

**EUROPEAN
IMAGES**

Projekt EUROPEAN IMAGES realizowany przez n-ost, Kajet, Ramina Mazura i Pismo.

[Kup książkę](#)

PROZA

Nie będzie innych zakończeń

tekst MARTA DZIDO



Ta historia była tak banalna, że trudno mi w nią uwierzyć. Zaczęła się w marcowy czwartek przed południem. A może w smutną środę, z początkiem kwietnia, kiedy nie było jeszcze żadnych oznak wiosny, a te, które nieśmiało wychylały się do świata, zasypał śnieg. Bo przecież plecień. Najokrutniejszy miesiąc. Tak mówili, tak pisali, więc dlaczego miałyby się nie sprawdzić.

Ta historia była tak banalna, że mogła być i o tobie, i o mnie, i o niej też. O każdej z nas. Chociaż żadna nie sądziła, że mogłoby się to przytrafić właśnie jej. Innym owszem, zdarzało się. Ale mnie? Słyszałam o przypadkach, że znajoma koleżanka, mama sąsiadki, jakaś celebrytka, córka kuzynki, dziewczyna w kwiecie wieku, siostra przyjaciela i ta, która śpiewała, że już nie ma dzikich plaż. Ale że ja? Jak to – ja?

Ta historia była tak banalna, że... Mnóstwo takich przydarza się co dzień, niezależnie od szerokości geograficznej, pory roku, stanu konta. Początek jest zwykle podobny. Zawiązanie akcji, punkt zwrotny, potem może być różnie, zależy od stopnia złośliwości, woli walki, szczęścia albo pecha.

Scenariusz takiej historii może się rozwijać modelowo jak hollywoodzki film, trójaktówka ze strzelbą, która powieszona na ścianie w pierwszym akcie w trzecim musi wypalić i trafić prosto w serce. Może to być strzał niosący śmierć, a może tylko drasnąc. Co cię nie zabije, to. Bohaterka i przeciwności, które stara się pokonać. Jej droga, jej przemiana. Katharsis, litość i trwoga, prowadzące do oczyszczenia. Kulminacja, podczas której napięcie sięga zenitu. I jeszcze chwyt z fałszywym zakończeniem. Wszyscy już płakali nad jej losem, a jednak w scenariuszu będzie *happy end*. Zwyciężyła. Siedzi uśmiechnięta na werandzie pięknego domu, wokół niej gromadka dzieci i wnucząt, kotów, psów, w tle zachodzące słońce, *magic hour* tak uwielbiana przez operatorów obrazu, muzyka skomponowana w tonacji niosącej nadzieję i pokrzepienie. Dość. Napisy końcowe.

Ale kto wie, może film wcale nie amerykański, może ambitniejszy, z Europy Środkowej albo z bloku wschodniego, z kraju, który zasłynął kiedyś w świecie czarną serią dokumentu i moralnym niepokojem.

Scenariusz nie przewiduje kiczu, tandety i cackania się z widzami. Wręcz przeciwnie – będzie ich chłostał, wytrąci z błęgiego samozadowolenia, przyszpili konfrontacją z nieuchronnym. Po kulminacji, w której bohaterka dojdzie do ściany i każdy jej wybór będzie oznaczał klęskę, pojawi się nagle światło w tunelu. Można się chwycić jak tonący brzytwy. Przez moment uwierzyć, że się uda. A potem z poharatanymi dłońmi iść prosto na dno. Cięcie. Czerń ekranu. Głucha cisza. Nie wiadomo, czy bić brawo po takiej projekcji, czy uciekać wyjściem ewakuacyjnym i próbować zapomnieć, że takie jest właśnie kino ambitne, że takie jest życie, że prowadzi do śmierci. Nie będzie innych zakończeń.

SCENARIUSZE TYCH historii znałam doskonale z filmów, książek, opowieści, ale żeby z własnego doświadczenia?

Zaczął serią rutynowych pytań. Bóle? Żadnych. Zgrubienia? Nie czuję. Urazy? Nie przypominam sobie. A w rodzinie? Nic mi nie wiadomo. Ostatnie badanie? Nie pamiętam.

Proszę się rozebrać, proszę się położyć, proszę unieść rękę. Żeby zamknęła oczy, nie poprosił. Sama chciałam. Nie patrzyłam, ale czułam, jak rozsmarowuje żel, jak przykłada do skóry głowicę, jeździ z góry na dół, z boku na bok, wte i wewte, z początku było nawet miło, jak podczas masażu, ale dość szybko stało się niezbyt przyjemne. Ugniatał, wałkował, dociskał, „raz, dwa, trzy” – liczyłam w myślach, żeby nie koncentrować się na tym, co robi z moim ciałem, w jaki sposób je bada, ale trwało to i trwało, aż nie wytrzymałam i: „czy niedługo pan skończy?”.

On wtedy: „proszę spojrzeć”. Otworzyłam oczy, odwróciłam głowę i zerknęłam w ekran, na którym wyświetlany był czarno-biały film, z całą gamą odcieni szarości, kino z epoki przed dźwiękiem, bez tapera. Wyglądał jak eksperymentalny *video art*, wizualizacja, którą można byłoby puścić z rzutnika na ścianie klubu podczas imprezy. Kadr przypominał niebo, pełne delikatnych, lekkich, puszystych obłoczków, pierzastych chmur, a wśród nich jedna kłębiasta o poszarpanych brzegach i ciemna. Z takiej może być deszcz albo grad, może strzelić piorun.

Powiedział, że zmiana jest niepokojąca, że ma dwa i pół centymetra, trzeba będzie ją zbadać, wkuć się grubą igłą, pobrać próbkę, obejrzeć pod mikroskopem, zadecydować, co dalej. Napisał w skierowaniu: „pilne”, wydrukował kilka zdjęć. Każde zrobione z innej perspektywy, pod różnym kątem.

Pierwsza fotografia przedstawiała niebo. Na drugiej były białe grzbiety morskich fal, a między nimi czarna plama ropy. Wyciek utrzymujący się na tafli wody, trucizna, która skleja ptakom pióra, a rybom skrzela. Na trzeciej faktura kory drzewa, gruby pień, na nim narośl, grzyb wysysający życiodajne soki, ale gdy obrócić dołem do góry, to już nie narośl, to dziupla, w której mieszka wiewiórka. Czwarta fotografia przypomina *screen* z Google Maps, pustynne wydmy i krater po meteorycie. Na piątej wypielęgnowany trawniczek, zdewastowany w jednym miejscu przez kopiec kreta. Szósta – jeśli się dobrze przyjrzeć – to galaktyka z Drogą Mleczną, z jej centrum ziejące pustka czarnej dziury.

Stoję przed budynkiem przychodni, patrzę przez ciemne okulary w słońce, mam w torebce sześć zdjęć, abstrakcyjnych w formie i surrealistycznych w treści, opisanych ciągiem niezrozumiałych sformułowań medycznych, wyglądających jak tajne szyfry, brzmiących jak zaklęcia. Mam ciało obce w ciele, które dotąd wydawało mi się własne i dobrze znane. Mam w prawej pierśsi dwuipółcentymetrową chmurę, z której zapowiadają możliwy grad z porywistym wiatrem i ulewą, ale do mnie to nie dotarło, uważam, że przejdzie bokiem. Nie zabrałam nawet z domu parasolki. Właściwie to lubię moknąć, czuć na twarzy krople deszczu, wdychać wilgoć ziemi, skakać przez kałuże, zachwycać się, jak natura rodzi, jak kiełkuje, wzrasta, wydaje owoce. Nie obawiam się.

Ale grad. Grad to co innego. Twardy, uderza boleśnie, dziurawi liście na wylot. Spada z taką siłą, że może wbić w ziemię warzywa, z truskawek zrobi miazgę, strąci z gałęzi jeszcze niedojrzałe czereśnie. Grad może wyrządzić wiele szkód. Szczególnie ten o wielkości dwóch i pół centymetra.

Poradził: zadzwonić jak najszybciej. Jeszcze dziś. Są rozmaite metody i jeśli zaczniesz się działać wcześniej, można to okiełznać,

można zapobiec, nie dopuścić, by rozgościł się w tobie ktoś nieproszony i żeby cię pożerał od środka, siejąc spustoszenie podstępnie i po cichu. Najlepiej zgłosić się tu, to jest bardzo dobra poradnia, a jak tu nie będą mieli terminów, proszę dzwonić tam, tam też są specjaliści. W takich przypadkach jak u pani wizyta powinna być w ciągu tygodnia, maksymalnie dwóch.

Wpisałam numer, już miałam kliknąć w zieloną słuchawkę, by wykonać połączenie, ale zamiast tego mój palec osunął się w bok i wyłączył przycisk zasilania. Sekundę temu jeszcze byłam, w tej chwili już mnie nie ma. Poza zasięgiem.

Takich historii wydarza się półtora miliona rocznie. Były sobie parą. Mniejsze lub większe, opadające albo sterczące, jędrne, asymetryczne, pełne i obfite, ciężkie, malutkie, mieszczące się w dłoniach, przypominały kształtem jabłuszka, morele, arbuzy, podskakiwały w tańcu, bolały, gdy rosły, pęczniały przed miesiączką jak balony, ładnie się komponowały z koronką, pachniały słodko: wanilią, ciastem, bitą śmietaną, czasem jedna była większa od drugiej, pod wpływem zimna stawały się twardsze, rysowały się półokrągłe pod koszulką, można je było lubić, można było chcieć zmieniać, zwykle albo za duże, albo za małe, bardzo rzadko w sam raz, dawały radość, potrafiły się dumnie przeżyć, bywało, że wiedły, było im dobrze, gdy były głaskane, pozwalały innym się wtulać, mięciutkie jak poduszka, idealne, by między nimi zasnąć, wzbierał w nich pokarm dla dziecka, z sutków płynęło mleko, rosły, malały, kochały i były kochane. Aż nagle w jednej z nich pojawia się krater po meteorycie, czarna dziura w galaktyce albo chmurka wielkości dwóch i pół centymetra, kłębiasta i ciemna, a z tej chmury słowa lekarza ostre jak grad: pilnie zbadać, może się zdarzyć, że trzeba będzie ciąć.

—
IDĘ ULICĄ, pachną forsycje, miała być wiosna, a musi być biopsja. Żle się to rymuje, nie mogę uwierzyć, że to o mnie. A jednak.

Idę ulicą, pachną forsycje, miała być wiosna, a ja udaję, że to o kimś innym. Może o tobie, może o niej. Najlepiej o jakiejś obcej, nieznaney mi, takiej, która przejdzie obok,

miniemy się, a ja jej nawet nie zauważę. Ja pójde w swoją, ona w przeciwną.

Idzie ulicą, pachną forsycje, miała być wiosna i jest, ale ona jej nie widzi, bo w torbce ciąży sześć zdjęć, wydruków z wyświetlacza ultrasonografu. Niby dlaczego miałyby się bać, skoro nic nie boli. Jeśli do tej pory nie dokuczało, po co się martwić. Zatrzyma się za moment za rogiem, podrze fotografie na malutkie kawałeczki, wsypie do śmietnika i wróci do domu, tak jakby nigdy nie była w żadnej poradni, nie usłyszała zaleceń, nie otrzymała skierowania. Nie było jej tam. To była inna kobieta, niech tamta się teraz zastanawia, co dalej.

Można w zaprzeczenie, ale to nie sposób. Nie wytrzyma długo, będzie chciała się dowiedzieć, co to za ciało obce, w niej i przeciwko niej, na ile niebezpieczne. Zadzwoni, umówi się, podadzą termin, będzie czekała. Nie powie nikomu, bo co właściwie miałyby powiedzieć. Że nic nie wie, że się okaże, że nie warto się teraz martwić, że nie chce, by ktoś jej współczuł, pocieszał ani tym bardziej mówił, że będzie dobrze.

Będzie, co ma być. Na rozstaju są dwie drogi, innych ścieżek nie ma. Pierwsza prowadzi tam, gdzie nic groźnego. Jest jakiś procent szans, że chmurka przejdzie bokiem, rozplynie się, zawsze jest przecież nadzieja na możliwe wyjaśnienia. Zamiast gradu tęcza, zamiast trąby powietrznej delikatny wiatr, w miejsce czarnych kłębowi czysty błękit. Marne szanse.

Jest też druga opcja, bardziej prawdopodobna. Trzeba będzie badać dalej. Rozciąć, pokawałkować, udręczyć, wykroić skrawki, pobrać próbki, obejrzeć pod mikroskopem, zapoznać się z diagnozą, zaakceptować rokowania, wdrożyć leczenie, stanąć do walki.

Kto powiedział, że trzeba. Może ona wcale nie ma ochoty walczyć. Może chce oddać mecz walkowerem. Strzela samobója, wycofuje się na starcie, zdyskwalifikowana za niesportową postawę, zamiast ruszyć sprintem przed siebie i gnać do mety, idzie ulicą wolnym krokiem i wacha forsycje. W kwiecie wieku, w szczycie możliwości, ma akurat tyle lat, że wszystkie miłe pierwsze razy już za nią, młodsza nie będzie, ładniejsza też już raczej nie. Syn jest dorosły, studiuje, poradzi sobie. Mąż zaradny, będzie mu pusto, ale nie zginie. Ważne sprawy do załatwienia

przeszaną być ważne, nic się nie stanie, jak się je zostawi. Wykarmiła, kogo miała wykarcić, nacieszyła, kogo miała nacieszyć. Widziała wzburzony ocean. Spała pod gwiazdami. Wzlatywała nad chmury. Słuchała huku wielkich metropolii, wdychała zapachy egzotycznych miejsc na różnych kontynentach. Zjeżdżała świat. Napisała sporo scenariuszy rozmaitych historii. Widziała, jak ożywają na ekranie, publiczność je oglądała, z wypiekami na twarzy, z gęsią skórą, ze łzami wzruszenia. Jej nazwisko, dużą czcionką, że autorka. To czego więcej. Może już starczy. Nadszedł czas, by się zbierać. Teraz? Tak, teraz. Nagle, zmienacka, ale jak na to spojrzeć z drugiej strony, to w sumie całkiem niezły moment, jeszcze jej życie nie zbrzydło na tyle, by czekać z utęsknieniem na koniec, a przeżyła sporo, korzystała z chwil, nie odkładała na później. Czterdzieści dwa intensywne lata, spełnienia, rozczarowania, marzenia, frustracje, przyjaźnie, plany, poszukiwania, drobne radości, przebliski prawdy, zauroczenia, płacze, ataki śmiechu, duma, lęk, wściekłość, ekstaza, przekraczanie siebie... można by tak wymieniać w nieskończoność, ale wszystko ma swój kres. Jej koniec ma kształt chmurki, wielkość dwa i pół centymetra, ale kto wie, czy nie urośnie i nie rozsądzi jej od środka. Oby szybko, na raz. Oby hukiem, bo na skomlenie nie jest gotowa.

Wiatr marszczył wodę w jezioru, tańczył w trzcinach, park napełniał się słońcem, a ona siedziała na ławce, mrując oczy, liżąc loda w kwietniowy czwartek, o jedenastej dwadzieścia, wyłączona, poza zasięgiem. Spokojna, jakby ktoś odciął jej dopływ emocji, jakby mózg wiedział, że w takim momencie najlepsze, co może, to nie panikować, nie robić dramatu, nie bać się, nie czuć. Tylko słodki smak pistacji na języku, zapach budzącej się wiosny, delikatne ciepło. Tak, świat się bez niej obejdzie, świat się będzie dalej samounicestwiał, będzie się odradzał, bez wytchnienia i bez litości.

Trzeba stąd spadać. Ustąpić miejsca innym.

Nic tu po niej.

Nic tu po mnie.

Wstałam, przewiesiłam przez ramię torbkę, ciężką, jakby była pełna kamieni, a to tylko sześć niepozornych zdjęć. Krater, plama ropy, kopiec kreta, dziupla, czarna

dziura, chmurka. Wróciłam do domu, nie powiedziałam o tych fotografiach nikomu, nie było okazji ani czasu. Chciałam o nich nie myśleć, zapomnieć. Miałam nadzieję, że dzięki temu znikną.

MINĘŁY DWA TYGODNIE, a zdjęcia wciąż uparcie tkwiły w torebce. Żyłam jak przedtem, ale bardziej obok, jakbym oglądała film. Serial, który się ciągnie przez kilka sezonów. Pewnie można by opowiedzieć szybciej, sprawniej, z nagromadzeniem zwrotów akcji, skondensować czternaście dni w czternaście sekund, ale tu wręcz przeciwnie, momentami robi się z tego kino kontemplacyjne. Czekanie, nicniedzianie, trwanie. Lubię bohaterkę, nie powiem, kibicuję jej, utożsamiam się z nią w pewnym sensie, ale wściekam się, że taka głupia, że ma szansę się leczyć, może żyć, a ona udaje, że nic się nie stało. Nie założy jej. Nie chce. Odpuszcila.

Głos we mnie krzyczy: „rusz się, kobieto, zadzwoni pod numer, który dostałaś od lekarza, umawiaj wizytę, na co czekasz?”. Ale coś, czego nie rozumiem, coś, co ma nade mną przewagę, paraliżuje za każdym razem, gdy chcę podjąć działanie, unieruchamia mnie i każe przyglądać się z boku. Więc patrzę z ciekawością, co dalej, jak potoczy się akcja, co spotka główną postać tego dramatu.

A ona.

Nakupiła doniczek i nasion, sadi rośliny. Wkłada ziarna w głąb czarnej ziemi, podlewa i czeka, aż wykiełkują. Wykorzystała już każdy skrawek parapetu, każdy milimetr balkonu, na zewnątrz barierki, od środka, nawet na elewacji. Będą poziomki, niezapominajki, słonecznik, pomidor koktajlowy i rzodkiewka. W życiu tego nie robiła, a teraz nagle oszalała na punkcie balkonowego ogrodnictwa. Nikt nie wie czemu, ale ja wiem, że ma to głębszy sens. Że to ze strachu przed całkowitym zniknięciem i z nadzieją, że wszystko, co zakopane w ziemi, któregoś dnia odrodzi się zielonym pędem i znów zakwitnie. Że ona też.

Mogę się oszukiwać, że to nie o mnie, ale wciąż jestem sobą, mimo że własne ciało dzielę z czymś obcym, czymś, co przeciwko mnie, co wygląda niepokojąco, co może zagrażać, czym trzeba się zająć jak najszybciej. Najlepiej na wczoraj.

Podlewam te rośliny i czekam.

Żadne na wczoraj nie ma szans się dzisiaj ziścić.

DAWNO TEMU, zanim było wczoraj i przedwczoraj, nim jeszcze bohaterka w kwietniowy czwartek wyszła z przychodni z plikiem zdjęć w torebce, wcześniej, niż sięga pamięć jej telefonu, który teraz poza zasięgiem, przed pierwszą sceną tego scenariusza, który tak banalny, że aż surrealistyczny – był czas, kiedy była nieśmiertelna. Trudno jej teraz w to uwierzyć, ale tak – miała naście lat, mogła wszystko, z poczuciem, że nic nie grozi, że życie ma przed sobą. Początek drogi.



Cała masa początków dróg. Do wyboru, do koloru. Próbuje wszystkiego, kochana, nie żałuj sobie. Bierz, ile wlezie. Do pełna. Do zachłystnięcia. Później będzie już za późno.

Jasne jak słońce, że skóra jest miękka, że włosy są grube, piersi jędrne, śmiech donośny. Tańczy do szóstej rano i chce dalej. Kocha się cztery razy jednej nocy i wciąż jej mało. Gdy się cieszy, piszczy z radości, aż inni zatykają uszy, gdy się wścieka, wydobywa się z niej ryk tygrysy. Ma siłę, bo świat stoi przed nią otworem. Wystarczy sięgnąć.

Wydaje jej się, że tak będzie zawsze, a tu niespodzianka – mija chwila, a ona wrywa pęsetą pierwsze siwe włosy i nakłada farbę, bo nie chce widzieć następnych, kupuje biustonosz push-up, by podnieść wędnące piersi, próbuje wygładzić zmarszczkę, która rozorała w poprzek jej czoło, pije kolejną kawę, by dodać sobie energii, miała wyjść potać się, ale woli założyć piżamkę i iść do łóżka z książką.

Któregoś dnia dostaje od synka laurkę, a w niej kulfony wypisane kredkami, każda literka innym kolorem, układają się w zakłęcie: „mamo, nigdy nie umarnij”. Wtedy do niej dociera. Zawsze wiedziała, ale teraz poczuła. Tu nie będzie wyjątków.

Potem żyje dalej i się nie zastanawia. Inne sprawy są ważniejsze, nie jakaś tam śmierć. O tym się zresztą nie mówi ani w domu, ani w towarzystwie, ani na spacerze, ani przy stole. Zdarza się, że gdy umierają dalsi znajomi, ich profile w mediach społecznościowych wysyłają wciąż powiadomienia o urodzinach. Czasem ktoś nieświadomy życzy zmarłemu: „sto lat”. Jakby tamten mimo wszystko żył, w onlainie, przecież na fotce z wakacji uśmiecha się zadowolony, tylko nie jest aktywny, nie wyświetli wiadomości, nie odpowie, ale można napisać. Zawsze można napisać. Ożywić go na chwilę tym pisaniem, uwierzyć, że jest po drugiej stronie ekranu.

Tak jak z numerem telefonu, który jest w kontaktach, pod b. B jak babcia. Zwykle trzeba było odczekać kilka sygnałów, bo babcia musiała przejść przez pokój do stolika, na którym stał aparat, podnieść słuchawkę, usiąść na sofie, odetchnąć i dopiero wtedy mówiła: „tak, słucham”. Więc numer w kontaktach pod b, choć nieużywany od lat, wciąż jest, bo jak tu wykasować babcię, głupio by było, tak się nie robi.

Chciałaby bardzo teraz do niej zadzwonić, zapytać, co dalej z dwuipółcentymetrową chmurką, którą ma w piersi, bez obaw, że babcia się zmartwi, bo babci już sprawy doczesne nie smuć. Jednak tego nie robi, niech babcia sobie spokojnie śpi, nie ma co babci wybudzać. Trzeba zadzwonić gdzie indziej, tam, gdzie tyle zwlekała, wybrać numer poradni, powiedzieć: „dzień dobry”, podać swoje imię, nazwisko, pesel, wyjaśnić, o co chodzi, umówić się. Halo.

W PORADNI ONKOLOGICZNEJ w kolejce pod gabinetem czeka osiem kobiet, każda z nich jest główną bohaterką swojego scenariusza. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ta historia jest też o mnie. Że tu przyszedłam. Z własnej woli. Że w każdej chwili z własnej woli mogę stąd wyjść, a nie wychodzę. Siedzę w milczeniu i czekam. Nie wiem tak naprawdę na co. Chyba najbardziej chcę usłyszeć, że

tamten lekarz, który wydrukował mi sześć zdjęć z chmurką, kraterem i dziuplą, zrobił to przez pomyłkę, że pracował na zepsutym ultrasonografie, że to szarlatan, który się nie zna, że nic mi nie jest i proszę tu więcej nie przychodzić, nie zajmować miejsca potrzebującym.

Ta po lewej jest bardzo elegancka. Ma na szyi srebrną kolię i dopasowane do niej kolczyki z węzowym wzorkiem. Włosy w kok, nogi złączone, stopy w czółenkach, jedna przy drugiej, na kolanach beżowa torebka. Wyjmuje z niej smartfon, coś na nim sprawdza, chowa z powrotem, chwilę później znów tam sięga, zerka w ekran, włącza, wyłącza, do torebki, z torebki i jeszcze raz, i jeszcze, i tak w kółko. Jakby czekała na ważną wiadomość, sprawa życia i śmierci, ale wieści wciąż nie nadeszły.

Z prawej blondynka w dzinsach, lekkich tenisówkach, kusej kurtce, zielonej apaszcze. W dłoniach ma plik kartek. Wertuje nerwowo, przerzuca strony, czyta to samo po raz drugi, trzeci, dziesiąty, może już nawet nauczyła się na pamięć opisów. Wyobrażam sobie, że zaraz wstanie, wyjdzie na środek korytarza i odczyta apel, że w dniu dzisiejszym wszystkie panie, u których wykryto podejrzaną zmianę, mogą spokojnie rozejść się do domów i nie przejmować, bo diagnozy były błędne. Ciemne chmury rozgonił wiatr, nie będzie gradu ani burz. Można zaplanować spacer, piknik, wycieczkę.

Akurat. Nic z tego.

Dalej siedzi krótko ostrzyżona młoda dziewczyna. W uszach słuchawki, noga na nogę, buja w rytm, a kiukiem scrolluje ekran telefonu. Za nią kobieta, której wyraźnie się gdzieś spieszy, wstaje, siada, robi rundkę, wzdycha, posapuje, trzy kroki do przodu, cztery z powrotem, dwa do boku. Na szpitalnym korytarzu tańczy tango, prowadzona przez partnera, który nie dość, że niewidoczny, to trudno wyczuć: złośliwy czy łagodny. Nie ma jak go podejść. Nie wiadomo, jak z nim znaleźć wspólny rytm.

Tamta w rogu popija kawę, byle jaką, z automatu, w tekturce, innej nie serwują, to onkologia, nie kawiarnia, a mimo to jej mocny zapach dociera aż tutaj. Jest żona, której towarzyszy mąż. Niesie za nią płaszcz, do plastikowego kubka nalał wody ze stojącego w kącie dystrybutora, podał małżonce, usiadł

obok, wziął za rękę. I jeszcze dojrzała pani o łasce, bardzo szczupła i nieruchoma jak posąg, która patrzy w przestrzeń, emanuje spokojem, może medytuje, może wchodzi w stan nirwany. Wie coś, czego my, pozostale, nie wiemy.

Ta, która podpira ścianę i przygląda się reszcie, ósma wśród nich – to ja.

Scenariusze naszych historii mogą być różne. Jedną pokroją, drugiej wytną, trzecią poddadzą rekonstrukcji, wróci jak nowa, jeszcze lepsza, niż była, już nie do zderzenia, bo wypełniona silikonem. Czwarta będzie długo walczyć. Piąta zgaśnie szybko, prawie bez bólu. U szóstej zmiana okaże się zupełnie niegroźna. Wróci za rok, dwa, żeby zbadać znów. Siódma będzie się leczyć chemią, hormonami, naświetlaniem. Co będzie z ósmą? Wkrótce się dowiem.

Koniec końców, umrzemy wszystkie. To oczywiste. Finał naszych historii jest banalny. Co innego jest ciekawe – jak do tego końca dojdziemy i czy uda nam się jeszcze zabrać przed.

— GDYBYM SIĘ UMIAŁA modlić, poprosiłabym o siłę, ale nie nawykłam ani do modlenia, ani do proszenia, więc stoję naga przed lustrem, patrząc na ciało, które jeszcze mam, na siatkę niebieskich żył pulsujących pod skórą jak dopływy rzek – aż dziwne, że krew z nich czerwona. Widzę pomarszczenia i spęknięcia, przypominają wysuszoną ziemię spragnioną deszczu. Na jasnej skórze konstelacja ciemnych pieprzyków, drobnutkie gwiazdki rozsypane w nieładzie, bez planu, większe, mniejsze, przypadkowe. Uda jak kolumny, masywne i ciężkie, wystający brzuch, zmaltretowany ciężką, nigdy nie wrócił do stanu sprzed, nawet jak go wciągnąć i tak się uwy-pukla.

I piersi, obie opadają sennie, zmęczone ściskającym stanikiem, wrzynającymi się ramiączkami, żadna bielizna, nawet najbardziej firmowa i najdroższa, nie była dla nich dość wygodna, najlepiej czuły się nagie i swobodne, puszczane luzem. Z zewnątrz nie widać, że jedną odwiedził nieproszony gość, że mości się w niej, wije gniazdo, zabiera tlen. I nie ma pewności, czy da się z nim żyć, czy trzeba będzie z nim umrzeć.

Ile mi zostało? Czy jeśli bym wiedziała, że pół roku, żyłabym inaczej? A gdyby rok, dwa albo dwadzieścia, to co?

Czy jeśli by wiedziała, że pół roku, żyłaby inaczej?

Stoi naga przed lustrem i chociaż zdaje sobie sprawę z tego, jaki będzie koniec, nie wie, ile do tego końca. Ale dobre scenariusze ogląda się, nawet znając zakończenie. Pod warunkiem, że bohaterka będzie się rozwijać. A moja wręcz przeciwnie – zwiija się, zaczyna się mentalnie pakować na tamten świat. Wypadałoby się pożegnać, ale ona nie chce się dzielić tym, co przeżywa. Jej decyzja, jej prawo. Nie życzy sobie, by ktoś komentował jej rozpad, pytał z troską, jak się czuje, dodawał otuchy, a po wszystkim podsumował: „odeszła po walce z chorobą”. Nic wam do mojej walki i nic wam do mojego ciała. Zapytana w izbie przyjęć, czy chce upoważnić kogoś bliskiego do odbioru dokumentacji medycznej, odpowiedziała: „nie, dziękuję”. Męża? Mamę? Siostrę? Nikogo. Może jest niesprawiedliwa, może egoistyczna. Może.

Stoi naga przed lustrem, podniszczona, krucha, ale w środku silniejsza niż kiedykolwiek. Pewna swego. Gdyby się umiała modlić, poprosiłaby o siłę, ale po co, ona nie musi się modlić i nikogo prosić. Siła jest w niej.

Ciemne brodawki na piersiach wyglądają jak oczy tygrysa. Podoba jej się zwierzę, które odnalazła w sobie. Przyczajone, skoncentrowane. Zwierzę, które dobrze wie, że w każdej chwili może zginąć, i dlatego żyje tylko teraz i tu. Widzi dokładnie to, na co patrzy. Czuje jedynie to, co wokół. Żadne na później, żadne kiedy indziej. Jeśli strach, to wyłącznie przed realnym zagrożeniem, nie antycypacje, nie lęki wyobrażone, nie zamartwianie się o to, co będzie, co gdyby. Idzie za instynktem. Umie słuchać siebie. Nie analizuje.

Kiedyś już była tą tygrysią. Teraz znów się w nią przeistacza.

— W DOBRYM SCENARIUSZU każda scena popycha akcję do przodu. Jeśli jakiś fragment można pominąć bez straty dla całości, należy go usunąć. Tak radzą poradniki dla scenarzystów. W didaskaliach pisze się jedynie to, co



Muzeum Narodowe
w Warszawie

widać na ekranie, żadnych przemysłów, zero emocji. Trzeba pamiętać, że widownia powinna identyfikować się z główną postacią, razem z nią przeżywać perypetie, po seansie ma być bogatsza o wiedzę, którą nabyła wraz z bohaterką filmu. Tym, co napędza historię, jest konflikt. Bez konfliktu nie ma dramaturgii. Bez dramaturgii nie ma opowieści. Co nie zostało opowiedziane, tego nie ma.

Może dlatego moja bohaterka uparcie milczy. W żadnym z dialogów nie wspomniała ani słowem o tym, co napędza teraz akcję w jej życiu. Jakie wyzwania przed nią. Jakie konflikty. Najchętniej usunęłaby wszystkie sceny, w których występuje nieznanemu przeciwnik w kształcie dwuipółcentymetrowej ciemnej chmury. Nie przyzna się, że się boi. Właściwie nie zdążyła nawet zacząć się obawiać. Bo niby czego.

Ile to jest dwa i pół centymetra w skali kosmosu. Nic. Wobec zarazy – muszelka. Wobec wojny – kamyk. Wobec świata – listek wierzby. W skali życia – orzeszek, kostka czekolady, truskawka...

Chaps. I nie ma.

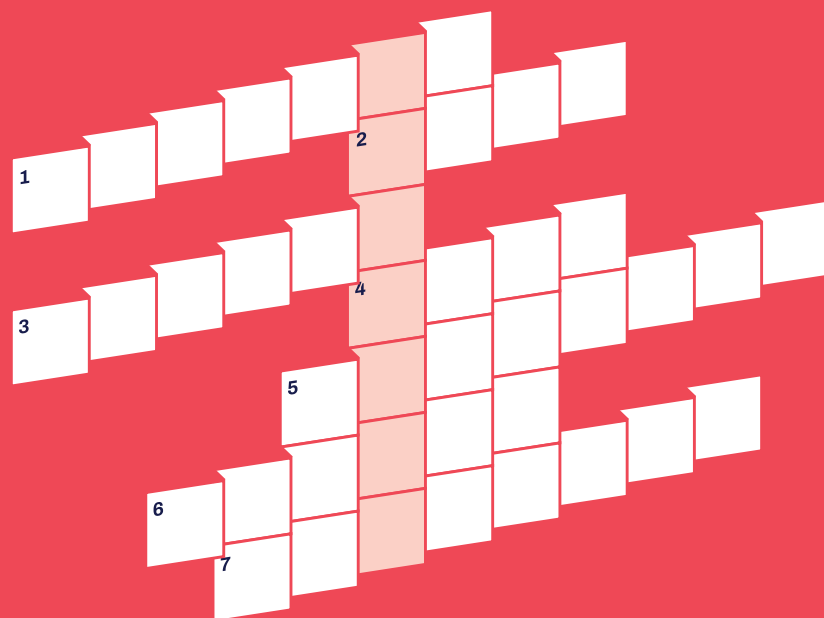
SCENA, W KTÓREJ lekarz stawia diagnozę: „nowotwór”, nie znalazła się w moim scenariuszu. Podobnie jak odbieranie wyników kolejnych badań. Usunęłam też z historii długie i nudne ujęcie, gdy bohaterka wybiera numer poradni i przez czterdzieści osiem minut słucha monotonnej melodyjki, czekając na połączenie, a gdy wreszcie ktoś po drugiej stronie podnosi słuchawkę, ona nie jest w stanie się odezwać, bo już zapomniała, po co dzwoni. Nie byłam pewna, czy dla widzów będzie interesujące, że to wszystko trwa tygodniami, że zmieniają się pory roku, że zakwitły bzy, które bohaterka lubi wachać aż do odurzenia, że któregoś razu stanęła pod kasztanem i padał na nią jasnorożowy deszcz płatków, to byłoby wizualnie piękne, ale nie posunęłoby akcji nawet o milimetr, więc nie znalazło się finalnej wersji.

Napisałam dla niej za to soczystą scenę seksu, z długim wstępem, z czułością i drżeniem, ludzie lubią dobrą erotykę na ekranie, szczególnie że w większości produkcji bywa zwykle przedstawiana w żenujący sposób, więc jest na to zapotrzebowanie, ale bohaterka rozplakała się tuż po, jakby razem

MNW kolekcjonuje

Zakupy z lat 2017–2022

11/05–
27/08/2023



**Przyjdź na wystawę,
rozwiąż krzyżówkę,
kup katalog z rabatem!**

PRZYJDŹ Z ROZWIĄZANĄ KRZYŻÓWKĄ DO KSIĘGARNI MNW
I ODBIERZ 10 ZŁ RABATU NA KATALOG WYSTAWY.
PROMOCJA OBOWIĄZUJE DO 30/07/2023.

1. Właściciel „Firmy Portretowej”.
2. Autor krzesła H106, „Pająka”.
3. Tam niemiecka fabryka porcelany.
4. Hiszpański malarz sabatu czarownic.
5. August, słynny polski rzeźbiarz.
6. Leży w instalacji duetu Kijewski/Kocur.
7. Autorka „Autoportretu niedokończonego”.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA
KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO,
PROF. DR. HAB. PIOTRA GLIŃSKIEGO

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MECENASI MUZEUM



PARTNERZY MUZEUM



PARTNER STRATEGICZNY
MUZEUM



WSPÓŁPRACA



AkzoNobel

Kup książkę

z rozkoszą zeszło z niej całe napięcie, które tłumila w sobie od miesięcy. A na dodatek zaczęła tłumaczyć się przed mężczyzną, który ją tulił: „nie przejmuj się, nic mi nie jest, miałam po prostu ochotę się rozryczeć”.

Nie do końca wiadomo, co zrobić z płaczącą kobietą. Może gdyby próbowała się z tym ukryć, schowała twarz w poduszkę, odwróciła plecami, ale ona płakała tak otwarcie i bezwstydnie, łzy spływały jej po policzkach, kapły na szyję, nos zrobił się różowy, powieki spuchły – jak pokazać taki płacz w filmie, kiedy bohaterka tuż po pięknym seksie, zamiast emanować spełnieniem, z sekundy na sekundę brzydnie i teraz właśnie widzimy ją prawdziwą, taka jest. Z zatkanym nosem, z którego cieknie, a ona nie ma pod ręką chusteczek, więc wierzchem dłoni próbuje wytrzeć gile. Wszyscy dotąd sądzili, że jest kobietą z żelaza, pewną siebie, silną, zdecydowaną, a ona okazała się być z cukru, na naszych oczach zaczyna się rozpuszczać. Oto ja.

W kinie nigdy nie obejrzymy tego, co główna postać sobie myśli, chyba, że słyszemy monolog wewnętrzny. Ale ja mam w głowie tylko jedno zdanie: „pieść te pierś, póki są ciepłe i żyją, pieść, póki możesz, spiesz się je kochać”. Mantra, która zapętlą się w myślach, która ma moc modlitwy, ale moja bohaterka nie wypowiada jej na głos, choć zwraca się do mężczyzny, który jest obok. Zaskoczony tym niespodziewanym wybuchem płaczu, przed momentem przecież czuł ją na sobie, jej pulsujące wnętrze, ciepłe, zadowolone, wydawało mu się, że zna ją całkiem dobrze, wiedział, jak reaguje, co lubi, kiedy chce jeszcze i kiedy jest dość. Ale nie zadaje pytań. Jest blisko niej, lecz nie próbuje się wdrzeć, nie nęka jej żadnym: „co się stało, nie płacz”. Ona wie, że za moment będzie już spokojna, wtedy on spróbuje ją rozśmieszyć. Zwykle mu się to udaje, już od dwudziestu kilku lat, i dlatego ona go kocha. Więc dlaczego tym razem miałoby się nie udać.

JEŚLI W TEJ historii ma zdarzyć się cud, to tylko taki, którego sama dokonam. Skoro mam w sobie moc, to czy z kamieniem u szyi, czy z guzem o kształcie gradowej chmury w piersi po wrzuceniu do głębokiej wody wypłynę nad taflę. Nic nie ma prawa ściągnąć

mnie na dno – chyba że tego zechcę. Świadomość, że mogę wszystko – pogрузić się w rozpacz, wpaść w furję, poddać się bezsilności i ośpieniu, udawać, że nic się nie stało, że to mnie nie dotyczy, rzucić się w wir przygód, łapczywie chwycić życie, próbować na zapas – pomaga mi przetrwać.

Może mnie zabić lęk przed umieraniem w chorobie, długim i bolesnym. Strach pożera szybko, bez przeżuwania, bez delektowania się smakiem. Ani się obejrzyś – już cię zjadł. Mogę się zbuntować i uznać, że wcale nie chcę dożyć własnego końca, to by dopiero było – umrzeć przed śmiercią, nagle urywa się film, jeden kieliszek za dużo ścina z nóg, jeszcze przed momentem śmiałam się do rozpuku, wywijałam na parkiecie, a już po chwili obraz się rozmazuje, chwieje, pstryk, nie ma. Mogę pozwolić, by odcinano mnie kawałek po kawałku, i pielęgnować to, co zostanie. Nie wierzę, że jest się tylko ciałem i krwią, i niczym więcej. To byłoby zbyt nudne. Nie dla mnie formułki, że z prochu i w proch.

Od recepcjonistki zapisującej terminy kolejnych badań usłyszałam, że trzeba jak najszybciej: w pani przypadku każdy dzień jest na wagę złota. Od tamtej chwili staram się tak traktować życie. Jak prezent, jak skarb.

Lekarz narysował na kartce dwie pierś, siedziałam po drugiej stronie stołu, widziałam je od góry, ale miałam wrażenie, że są uśmiechnięte. Ja też się wtedy do nich uśmiechnęłam. Doktor zaznaczył kropką, gdzie jest zmiana, powiedział, że na godzinie dziesiątej. Moja pierś zmieniła się w tarczę zegara, wskazówka idzie do przodu, cyk, cyk, cyk, zatacza koło. Jestem znów w miejscu, w którym byłam, w poradni onkologicznej, pod gabinetem w kolejce osiem kobiet, a ósma wśród nich – to ja.

Może cała ta historia zdarza się po to, bym mogła przeistoczyć się w wojowniczkę, wygodnie strzelać z łuku. Wsiąść na konia, pogalopować w dal, budzić respekt. A może, by znów poczuć zachłanność na życie, cieszyć się drobnostkami, dostrzegać w nich wartość.

Może w dziupli, która zostanie po usunięciu obcego ciała, zamieszka ptak, znajdzie tam sobie schronienie, uwije gniazdko, będzie nad ranem śpiewał. Albo z tej wyrwy wykiełkuje zielony pęd, puści pąki, przemieni w kwiat, będzie pięć się ku słońcu.

Skoro wszystko we wszechświecie nieustannie się przeobraża, to i ja nie będę tkwić wiecznie w jednym stanie skupienia. Topnienie, parowanie, skraplanie, zlodowacenie, płomień. Jeśli ma mnie strawić ogień, wlecę iskrą wysoko w niebo, będę tam lśnić, nie odróżnisz, która wśród gwiazd to ja. Jeśli przyjmie mnie ziemia, wyrosnę między kamieniami niezapominajką.

W kolejce pod gabinetem czeka nas osiem. Mamy w piersiach tarcze zegarów, każdy wybija inną godzinę. Do tej pory wydawało mi się, że to ja opowiadałam tę historię. Że buduję napięcie, piszę dialogi, wymyślam sceny, kreślę wątki, prowadzę akcję do przodu, do kulminacji. Zwykle tak było.

Okazało się, że tym razem jest na odwrót. Ta historia opowiedziała o mnie. A przy okazji też trochę o każdej z nas. Każdej, która czeka w korytarzu w kolejce, z lękiem, wściekłością, niedowierzaniem, nadzieją. O mnie, o niej. Może też o tobie. Żadna wcześniej nie sądziła, że może się to przytrafić właśnie jej. Zwykle przydarzało się innym. Koniec końców, umrzemy wszystkie, to pewne, ale nie to jest ciekawe w tej historii. Liczy się co innego.

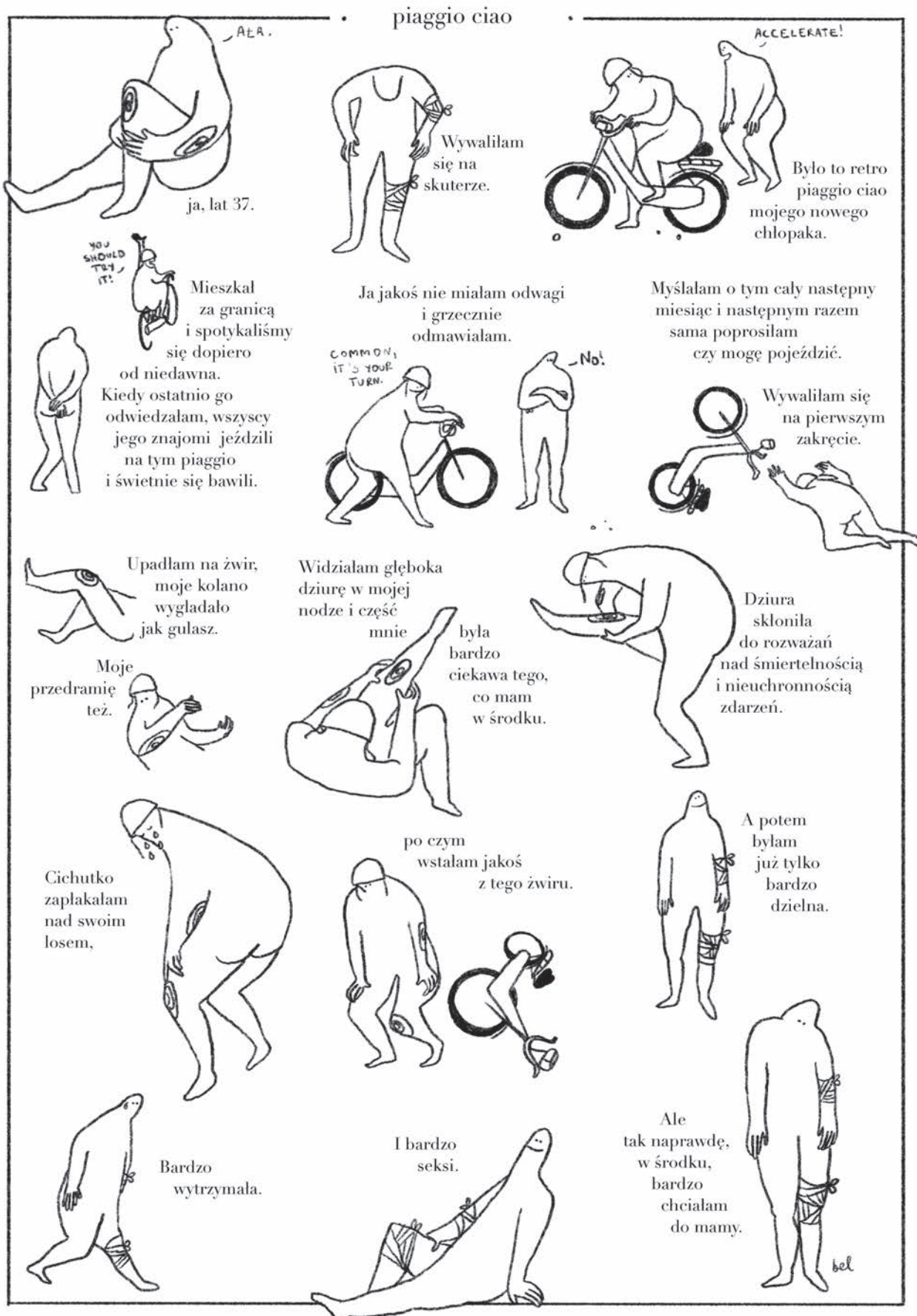
Drzwi gabinetu się uchylają, słyszę głos lekarza, który wypowiada moje imię. W pierś, która zmieniła się w tarczę zegara, wybija godzina dziesiąta. To całkiem wcześnie, jeśli uznać, że chodzi o przedpołudnie. A nawet gdyby była już dwudziesta druga, to też nieźle, wiele się jeszcze może zdarzyć do północy.

Tekst powstał podczas rezydencji Next Page w Sofia Literature and Translation House, przy wsparciu Instytutu Polskiego w Sofii oraz National Culture Fund i Municipality of Sofia.



Piaggio ciao

tekst KATARZYNA BELCZYK



Kup książkę

SOCZEWKA PISMA

Pic na wodę

tekst i zdjęcia BARTEK SABELA, współpraca NANCY WALDMANN

W POLSCE NAWET KATASTROFY EKOLOGICZNE następują zgodnie z prawem. Kompetencje poszczególnych organów kontrolujących stan wód są tak rozdrobnione i niepowiązane ze sobą, że latem 2022 roku każdy zrobił swoje, a Odra i tak umarła.

[Kup książkę](#)



Ścieki z kopalni KWK Knurów-Szczygłowie Ruch
Szczygłowie. Kilka metrów dalej wpadają do rzeki Bierawki.

Jest 26 lipca 2022 roku. W położonych w połowie drogi między Opołem a Wrocławiem Lipkach (206 kilometrów od źródła Odry na południowo-wschodnim zboczu wzgórza Fidlův kopec w Czechach) mieszkańcy obserwują śnięte ryby unoszące się na powierzchni rzeki.

W ciągu następnego tygodnia Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska (WIOŚ) w Katowicach oraz Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej (RZGW) we Wrocławiu dostają zgłoszenia od wędkarzy i mieszkańców o niespotykanej liczbie martwych ryb na odcinku Odry między Brzegiem (197 kilometrów od źródła) a Oławą (214 kilometrów od źródła). Badania Specjalistycznej Grupy Ratownictwa Chemiczno-Ekologicznego z Wrocławia wykazują podwyższone pH wody oraz większą zawartość jonów fosforanowych, azotanowych i azotynowych. Temperatura powietrza w zachodniej części kraju sięga 35 stopni Celsjusza. Woda w Odrze ma miejscami 25 stopni, w Kanale Gliwickim (wybudowanym przed wojną, by połączyć Odrę z Gliwicami) ponad 28 stopni. Od kilku tygodni trwa susza.

Pomór odrzańskiej fauny 4 sierpnia dociera do Głogowa (393 kilometry od źródła), pięć dni później do Krosna Odrzańskiego (516 kilometrów od źródła). Kolejnego dnia tysiące martwych ryb pojawiają się na całym odcinku Odry wzdłuż granicy polsko-niemieckiej.

Między 6 a 8 sierpnia wzrasta pH wody w Odrze, podobnie dzieje się ze stężeniem chlorofilu, spada zaś zawartość azotu, co świadczy o masowym zakwicie glonów. Potwierdzają to zdjęcia dostarczone przez satelitę Sentinel-2, przeanalizowane przez specjalistów z Instytutu Ekologii Słodkowodnej i Rybactwa Śródlądowego imienia Leibniza w Berlinie. Stacja monitoringu we Frankfurcie nad Odrą notuje silny wzrost zasolenia wody.

André Schneider nie pamięta, czy jego telefon zawibrował bardzo wcześnie rano 8 czy 9 sierpnia. Trzydziestodwuletni jest odrzańskim rybakim w szóstym pokoleniu. Prowadzi gospodarstwo rybackie w Kuhbrücke, na wysokości Kostrzyna, w tym kemping, pensjonat i sklep rybny. Ma w ofercie lokalne ryby, jak sandacze, wędźli sumy. Tamtego ranka zadzwonił do niego

znajomy rybak, mówił o „stosie martwych ryb”. „Cóż, jest lato” – odpowiedział sennie Schneider. Następnie znajomy wysłał zdjęcia, które wstrząsnęły Schneiderem tak, że wyskoczył z łóżka. Nigdy nie widział tylu śniętych rybich ciał.

Dopiero 11 sierpnia, gdy na całej długości Odry wyławiane są już ich dziesiątki ton, prezes Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie (PGW WP, agencja rządowa skupiająca regionalne zarządy gospodarki wodnej) Przemysław Dacę przyznaje, że doszło do poważnej katastrofy ekologicznej. Rodzina Schneiderów spędza ten dzień z pomocnikami, usuwając zwłoki ryb. Na odcinku 500 metrów zebrali, jak szacuje André, od 500 do 800 kilogramów. W Niemczech, podobnie jak w Polsce, mieszkańcy, wędkarze i pracownicy urzędów lokalnych usuwają cuchnące masy ryb, chociaż odpowiedzialność za Odrę jako federalną drogę wodną leży po stronie władz centralnych.

Dwunastego sierpnia, ponad dwa tygodnie po tym, jak w Lipkach zaobserwowano pierwsze martwe ryby, mieszkańcy województw zachodniopomorskiego i lubuskiego otrzymują alert Rządowego Centrum Bezpieczeństwa: „Uwaga! Zanieczyszczona woda w Odrze. Nie kąp się w Odrze i nie używaj wody z rzeki. Śledź komunikaty sanepidu”. Tego samego dnia premier Mateusz Morawiecki dymisjonuje Dacę oraz głównego inspektora ochrony środowiska Michała Mistrzaka.

Trzynastego sierpnia komendant główny Policji Jarosław Szymczyk wyznacza nagrodę w wysokości miliona złotych za wskazanie sprawcy katastrofy na Odrze. Tymczasem na konferencji w sztabie kryzysowym premier Morawiecki przyznaje, że o sytuacji na Odrze dowiedział się dopiero 10 sierpnia. Tego samego dnia nadburmistrz Frankfurtu wyzywa do trzymania się z dala od rzeki.

Czternastego sierpnia federalna ministra środowiska Steffi Lemke z partii Zielonych spotyka się w Szczecinie z polską ministrami środowiska i klimatu Anną Moskwą. Politycy z Berlina wyrażają rozczarowanie brakiem informacji z Polski, ci z Warszawy złością się na niemiecką tezę o zatruciu rtęcią, którą naukowcy szybko odrzucili.

Osiemnastego sierpnia Moskwa ogłasza, że Instytut Rybactwa Śródlądowego

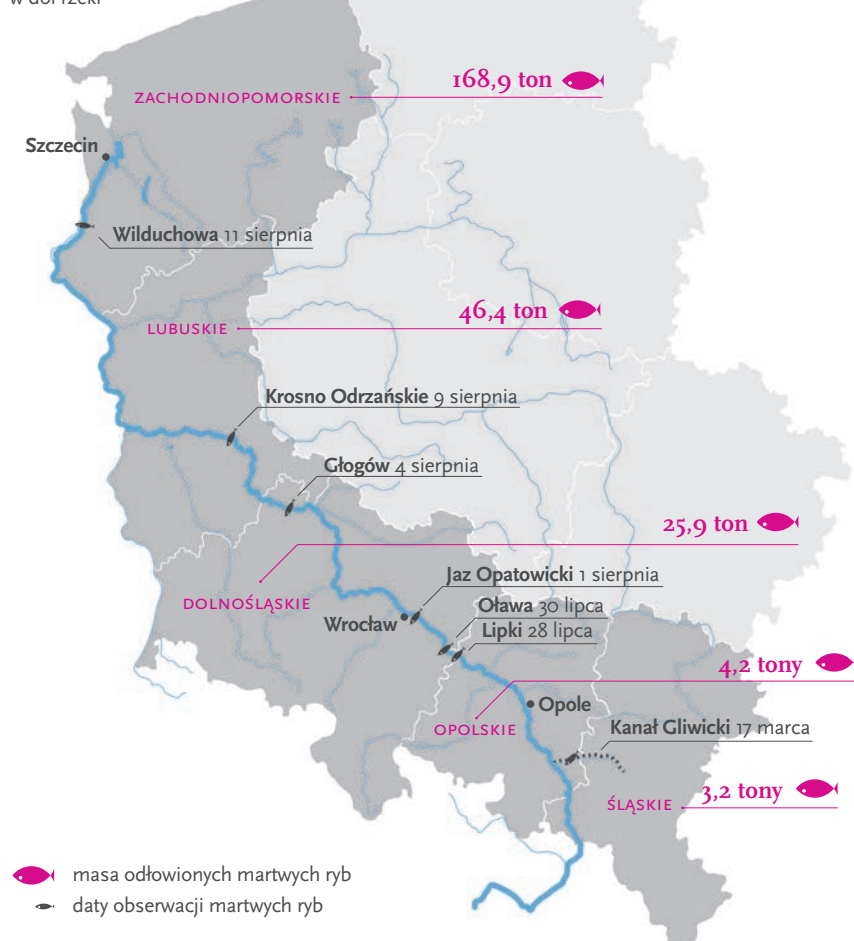
zidentyfikował w próbkach wody glony *Prymnesium parvum*. Równolegle taką samą diagnozę stawia wspomniany już berliński Instytut Ekologii Słodkowodnej i Rybactwa Śródlądowego. *Prymnesium parvum* są człowiekowi dobrze znane. Potocznie zwane złotymi algami, stanowią gatunek inwazyjny. Lubią zasolone, stojące wody, obfite w związki azotu i fosforu. Na nagłą zmianę warunków środowiskowych reagują wyrzutem silnej toksyny – prymnezyny – zabójczej dla organizmów oddychających skrzelami. Pierwszy raz zakwity tych alg opisano w 1920 roku; w latach 40. glony rozprzestrzeniły się w słonawych stawach w Izraelu, gdzie były główną przeszkodą w hodowli ryb. W Ameryce przypadki toksycznego zakwitu złotych alg notuje się od lat 80. w kilkunastu stanach. Masowe umieranie ryb stwierdzono również w Australii i Chinach. W 1989 roku algi zdziesiątkowały hodowle łososi u wybrzeży Norwegii, rok później zniszczyły populacje ryb w holenderskim rezerwacie Botshol i w cieśninie Dragsfjård, w południowo-zachodniej Finlandii. W 2007 i 2008 roku rozległy zakwit alg obserwowano na Bałtyku. Tajemnicą pozostaje, jak złote algi znalazły się w Odrze.

Podczas narady Polsko-Niemieckiej Rady Ochrony Środowiska 29 sierpnia w Bad Saarow Steffi Lemke i Anna Moskwa stoją ramie w ramie przed mikrofonami. Obie potwierdzają tezę o złotej aldze. Zgadniają się również, że polscy i niemieccy eksperci powinni współpracować, by znaleźć przyczyny katastrofy. Nie uda im się jednak porozumieć co do prowadzenia prac nad regulacją Odry. Na początku września rząd Brandenburgii żąda, aby „rzuty substancji do Odry, które są krytyczne dla środowiska, zostały natychmiast zatrzymane”. Należy, postulują Niemcy, ustanowić transgraniczny rejestr zrzutów. Brandenburgia przedstawiła to żądanie stronie polskiej, ale ta, według niemieckich Zielonych, je blokuje.

Niespełna dwa miesiące po szczycie katastrofy, 29 września, Instytut Ochrony Środowiska – Państwowy Instytut Badawczy (IOŚ-PIB) prezentuje rządowy wstępny raport pod redakcją profesorki Agnieszki Kolady. Liczący 259 stron dokument zamówiony przez Ministerstwo Środowiska i Klimatu współtworzyło czterdzieścioro

ODRA W 2022 ROKU

Jak katastrofa posuwała się
w dół rzeki



Źródło: Instytut Ochrony Środowiska – Państwowy Instytut Badawczy, Wstępny raport zespołu ds. sytuacji na rzece Odrze.

sześcioro ekspertów i ekspertek z trzynastu ośrodków naukowych i czterech urzędów państwowych. Punktem wyjścia były badania martwych ryb oraz analizy chlorofilu na podstawie zdjęć satelitarnych. Nie stwierdzono oznak chorób bakteryjnych, wirusowych czy wskazujących na obecność toksycznych związków związanych z przemysłem. Ryby umierały wskutek gwałtownie działającej prymnezy. Szybki rozwój glonów i wyrzut toksyn był skutkiem nałożenia się wielu czynników: wysokiej temperatury, niskiego stanu wód i ich wolnego przepływu, a przede wszystkim dużego zasolenia wody. Raport IOŚ-PIB potwierdził również, że stan wody w Odrze jest zły od lat.

Algi spadły polskiemu rządowi z nieba. Wszakże to jednokomórkowe rośliny, a zatem katastrofa miała przyczyny naturalne. „Coraz więcej wskazuje, że sytuacja na Odrze była zdarzeniem o charakterze

naturalnym, gdzie nie było specjalnych, wielkich zrzutów substancji chemicznych – ani rtęci, ani innych, którymi nas straszono” – mówił 25 sierpnia w TVP premier Morawiecki. – „Uważam, że lepiej, że w tym przypadku przyroda to spowodowała – wtórował mu poseł Prawa i Sprawiedliwości Kazimierz Smoliński. – Wobec przyrody człowiek jest bezradny”.

Duchy Fryderyka II

O TYM, ŻE W KONTEKŚCIE Odry to zdanie nie jest prawdziwe, wiemy jednak od ponad dwustu lat, bo od tak dawna jest ona okaleczana przez człowieka. W 1819 roku władze Prus, pod kontrolą których od połowy XVIII wieku znajdował się prawie cały bieg Odry,

uchwalili protokół bogumiński, legalizujący kompleksową regulację rzeki i utworzenie Odrzańskiej Drogi Wodnej, która pozwoliłaby w sposób ciągły i niezależny od pór roku transportować towary ze Śląska. Wzdłuż rzeki zbudowano wały przeciwpowodziowe oraz około 10 tysięcy ostróg regulacyjnych, które wyhamowują nurt, zatrzymują naturalną erozję brzegów, a zwiększają erozję denną. Między głównymi dopływami rzeki nadano stałą szerokość, koryto oczyszczono z drzew i pni, zbudowano stopnie wodne ze śluzami. Celem tego gigantycznego przedsięwzięcia było osiągnięcie w miarę stałej głębokości rzeki – przynajmniej jednego metra – umożliwiającej od 1838 roku żeglugę parowcem między Wrocławiem a Hamburgiem (dzięki kanałowi łączącemu Odrę ze Sprewą, Hawelą i dalej Łabą). W 1939 roku otwarto Kanał Gliwicki, który połączył rejon przemysłowego Śląska z Odrą na wysokości Kędzierzyna-Koźła. W latach 70. doprowadzono do niego Kanał Kędzierzyński. Zwieńczeniem tych prac miał być kanał łączący Odrę z Dunajem, nigdy niezrealizowany pomysł jeszcze pruskich planistów.

Po wiekach przekształceń na Odrze funkcjonują dwadzieścia trzy stopnie wodne (a planowane są następne), na których usytuowano czterdzieści trzy śluzy. Na 742 kilometry długości Odry w granicach Polski aż 187 kilometrów zostało całkowicie skanalizowanych. Wałami odcięto 76 procent naturalnych terenów zalewowych. Wszystkie te prace miały przekształcić Odrę w transportowy szlak wodny o znaczeniu międzynarodowym oraz ograniczyć zagrożenie powodziowe. Ani pierwsze, ani drugie, jak pokazała powódź z 1997 roku, się nie udało.

Jedynie patrząc na Odrę z niemieckiego brzegu, widzi się dzisiaj dziką rzekę – przynajmniej w porównaniu z innymi u naszego zachodniego sąsiada, na czele z Renem, którego regulacja miała duży wkład w rozwój gospodarczy regionu. Zgodnie z wytycznymi ramowej dyrektywy wodnej Unii Europejskiej z 2000 roku tylko 8 procent niemieckich rzek i strumieni jest w dobrym lub bardzo dobrym stanie ekologicznym. Około połowa z nich została „silnie zmodyfikowana”. W samej Brandenburgii, przez którą przepływa Odra, na znacznej długości



—
Zrzut ścieków z kopalni KWK Halemba do rzeki Kłodnica.

[Kup książkę](#)

swojego niemieckiego biegu jej sytuacja nie jest lepsza – uzyskała wynik „umiarkowany”, trzecią z pięciu kategorii.

W 2015 roku Polska i Niemcy zawarły umowę dotyczącą ochrony przeciwpowodziowej na granicznym odcinku Odry. W tym samym roku, pod koniec rządów koalicji Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, Warszawa podpisała umowę kredytową z Bankiem Światowym na kwotę 2 miliardów złotych. Cel: wały przeciwpowodziowe, podnoszenie mostów, regulowanie nurtu, remonty śluz, odbudowa ostróg oraz pogłębienie rzeki do zanurzenia 1,8 metra – wszystko motywowane ochroną przeciwpowodziową koryta Odry. Dziwnym zbiegiem okoliczności takich samych inwestycji wymaga żegluga. Od lat za odtworzeniem Odrzańskiej Drogi Wodnej lobbjuje Grupa Azoty, której dwie ważne spółki są zlokalizowane nad Odrą – w Kędzierzynie-Koźlu i w Policach. Jesienią 2022 roku Grupa ogłosiła, że wiosną ruszy przebudowa Kanału Kędzierzyńskiego, basenu portowego i terminalu kontenerowego. Projekt, który ma zostać ukończony do 2030 roku, nosi nazwę „Zielone Azoty”. O tym, że ochrona przeciwpowodziowa była tylko przykrywką dla planów użegłownienia Odry, mówił otwarcie w 2020 roku Andrzej Kreft, były dyrektor Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Szczecinie w reportażu Grzegorza Szymanika w „Dużym Formacie”.

W listopadzie 2020 roku gospodarka wodna została wyłączona z kompetencji Ministerstwa Klimatu i Środowiska, po czym została oddana do Ministerstwa Infrastruktury, zajmującego się między innymi transportem, żeglugą śródlądową i gospodarką morską. Pod zarząd ministra Andrzeja Adamczyka przeszły Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie oraz Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej – Państwowy Instytut Badawczy. Adamczyk powołał na pełnomocnika rządu do spraw gospodarki wodą oraz inwestycji w gospodarce morskiej i wodnej Marka Gróbarczyka. To on stał się odpowiedzialny za realizację inwestycji w sektorze gospodarki morskiej i wodnej. Jako minister gospodarki morskiej i żegluga śródlądowej w latach 2015–2020 zapowiedział budowę Kanału Śląskiego, który miałby połączyć

Odrę z Wisłą. To część planu przywrócenia w Polsce żeglowności dróg wodnych o znaczeniu międzynarodowym [więcej pisze o tym w tym numerze „Pisma” Joanna Ruszczyk – przyp. red.]. Jeszcze wcześniej, w 2007 roku, Gróbarczyk był wiceprezesem zarządu Zakładów Azotowych w Tarnowie-Mościcach (od 2013 roku noszących nazwę Grupa Azoty).

Szczególną troskę o żeglugę widać nawet w jednym z paragrafów prawa wodnego (regulującego gospodarowanie wodami): „Minister właściwy do spraw gospodarki wodnej kształtuje kierunki polityki wodnej państwa, uwzględniając kierunki rozwoju żegluga śródlądowej”. „Kolejne miliardy muszą zostać przeznaczone na rzecz inwestycji w Odrę – mówił w lipcu 2022 roku, tuż przed katastrofą, premier Mateusz Morawiecki. – Bo transport wodny jest najbardziej ekologiczny i jest też najtańszy, i większym stopniu będziemy z niego korzystać”.

Według unijnych celów ochrony środowiska wyrażonych w dokumencie *Biała księga. Plan utworzenia jednolitego europejskiego obszaru transportu – dążenie do osiągnięcia konkurencyjnego i zasobooszczędnego systemu transportu* z 2011 roku udział zrównoważonego transportu powinien wynieść 30 procent do 2030 roku i aż 50 procent do 2050 roku. Kryteria takiego transportu (niska emisja dwutlenku węgla, zanieczyszczeń i hałasu, ograniczone oddziaływanie na środowisko) spełniają jedynie żegluga i kolej. W skali całej Unii koleją przewozi się 18 procent towarów, żeglugą zaś 6 procent, w Polsce odpowiednio 15 procent i poniżej 1 procenta. Na polskich barkach w 2021 roku przetransportowano 3,5 miliona ton ładunków, z czego około 2,4 miliona na Odrze. W tym samym czasie koleją przewieziono 86,2 miliona ton.

Według danych rządowych realizacja dróg wodnych będzie kosztować 76 miliardów złotych. To jednak koszty samej regulacji rzek. Fundacja WWF Polska w raporcie *Żegluga czy kolej* z 2020 roku całociowe koszty budowy dróg wodnych w Polsce szacuje na 213–237 miliardów złotych, ale nawet po tych inwestycjach drogi te nie byłyby żeglowne przez dwanaście miesięcy w roku. Europa natomiast, zgodnie z założeniami ramowej dyrektywy wodnej, której celem jest

osiągnięcie „dobrego stanu” rzek, jezior, i wód podziemnych, nie chce już inwestować w anachroniczną regulację rzek, tworzenie śródlądowych dróg wodnych, zbiorników retencyjnych i stopni wodnych. Zamiast tego wzywa do renaturyzacji rzek, czyli przywrócenia im ich naturalnego stanu. Dalsza regulacja Odry i Wisły w świetle zmian klimatycznych i tak nie wesprze żegluga śródlądowej. Pomoże za to suszom i powodziom. Oraz algom i sinicom.

Bo woda była za słona

O TYM, ŻE KATASTROFA nie miała przyczyn naturalnych, informowała w komunikacie z 18 sierpnia WWF Polska: „*Algi Prymnesium parvum* preferują wody słonawe i słone, które nie występują naturalnie na zagrożonym odcinku Odry. Ich zakwit (masowe namnożenie) w śródlądowej Odrze wskazuje, że warunki środowiskowe uległy nagłej zmianie na bardziej optymalne dla tego gatunku, co nie było zjawiskiem naturalnym, lecz spowodowanym przez działalność człowieka. W górnym biegu Odry i jej dopływów znajduje się wiele zapór, gdzie praktycznie nie występuje wymiana wody, zwłaszcza przy obecnych jej niskich stanach. Oznacza to, że silnie zasolona, ciepła i bogata w składniki odżywcze woda przebywała dłuższy czas w tych zbiornikach (...) doprowadzając do wykwitu w niej alg, a następnie (...) trafiła do Odry. To z kolei oznacza, że zasolona woda, sztuczne zbiorniki, kanalizacja i regulowanie Odry przyczyniły się do katastrofy”.

Takie same wnioski można znaleźć w raporcie Komisji Europejskiej z lutego 2023 roku przygotowanym przez Wspólne Centrum Badawcze Komisji Europejskiej i Europejską Agencję Środowiska. Już we wstępie można przeczytać, że masowy zakwit alg i uwolnienie toksyn nie mogłyby się wydarzyć w warunkach naturalnych. Raport jasno wskazuje, że masa silnie zasolonej wody wraz z toksycznymi algami pochodziła z Kanału Gliwickiego i musiała mieć związek ze zrzutami ścieków kopalnianych.

Każda ze śląskich kopalni łączy się potokami, kanałami i mniejszymi rzekami z Odrą

lub Wisłą. Kłodnica, Bierawka, Nacyna, Ruda, Czarniawka, Potok Bielszowski to dopływy Odry. Pszczynka, Biała, Przyrwa, Mleczna, Potok Goławiecki, Bolina, Bobrek, Przemsza niosą wodę do Wisły. Bierawka zbiera ścieki z pięciu kopalni, Kłodnica – z sześciu, rzeki wpadające do Wisły – z kolejnych siedmiu. Właścicielem większości śląskich kopalni są dwie spółki. W skład Polskiej Grupy Górniczej (PGG), największego producenta węgla kamiennego w Unii Europejskiej, wchodzi siedem kopalni, z czego trzy są zespolone, czyli składające się z kilku zakładów. Jastrzębska Spółka Węglowa (JSW), drugi co do wielkości gracz na polskim rynku węgla i największa unijna grupa koksowni, ma pięć kopalni, w tym dwie zespolone. Na Śląsku działa również kopalnia PG Silesia należąca do czeskiej spółki Energetický a Průmyslový Holding.

Jadę na Śląsk, chcę zobaczyć zrzuty ścieków na własne oczy. Potok Bielszowski, zanim wpłynie na teren Kopalni Węgla Kamiennego (KWK) Ruda Ruch Bielszowice, niesie spokojną, w miarę przejrzystą wodę, na powierzchni której pływają ptaki. Jeszcze w latach 70. można się było w nim kąpać. Dziś, po przepłynięciu przez teren kopalni, staje się rwącym, żółtobrazowym ściekiem. Potok nie jest wyjątkiem – każda rzeczka i strumyk, nad którymi się zatrzymuję, niosą spienioną, brudną wodę. W Knurowie rzeka Bierawka wije się między hałdami węgla, a wpadające do niej śmierdzące ścieki z KWK Knurów-Szczygłowice mają czarny kolor.

Bierawka wraz z Kłodnicą, która płynie nieco bardziej na północ, uchodzą za dwie najbardziej zasolone z polskich rzek. Kłodnica ma nawet swój zespół przyrodniczo-krajobrazowy „Źródła Kłodnicy”, ale zamiast czystej rzeki pośród lasu widzę pieniącą się brudną wodę i brzegi obleczone śmieciami. Okoliczni mieszkańcy wspominają, że jeszcze parę lat temu przychodzili tutaj na romantyczne zachody słońca. Ponoć było pięknie i zaskakująco dziewiczo jak na Śląsk. A dziś, mówią, i tak jest nieźle, bo aż tak bardzo nie śmierdzi. Niespełna 10 kilometrów od swojego źródła Kłodnica jest brunatnym ściekiem. Może dlatego, że zdążyła zebrać wody z kopalni Wujek i katowickiej oczyszczalni ścieków Panewniki? Kilka kilometrów dalej, między domami Rudy

Śląskiej, rzeka przyjmuje ścieki z KWK Ruda Ruch Halemba. Zrzut, którym wpada spieniona woda, przypomina mały wodospad.

Ile wód kopalnianych i samej soli trafia z kopalni Halemba do Kłodnicy? Wysłałem pytanie do zakładu z prośbą o udostępnienie tych danych oraz podstawy prawnej, która pozwala na zrzuty do rzeki. Poprosiłem też o możliwość wejścia na teren kopalni, bym mógł zobaczyć, jak wygląda gospodarka ściekami. Zostałem przekierowany do głównego rzeczownika PGG, ten jednak mimo wielu ponagieł nigdy nie odpowiedział na mój mail. Dane te można jednak uzyskać również od Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie, które wydało pozwolenie na zrzuty ścieków dla kopalni Halemba. Zgodnie z nim w 2020 roku kopalnia mogła zrzucić do Kłodnicy blisko 10,5 miliona metrów sześciennych solanek. Rok później limit podniesiono do prawie 11,4 miliona. Wody te mogą mieć stężenie chlorków na poziomie 9,5 grama na litr, a siarczanów – 1,5 grama na litr. Chlorki i siarczany to nic innego jak sól. Za Halembą zasolenie Kłodnicy wzrasta ponad siedmiokrotnie. Zastanawia mnie, jak można zweryfikować, czy dany zakład wprowadza do rzeki ścieki o objętości i jakości zgodnej z pozwoleniem. Jak sprawdzić, czy spuszcza 11,4 miliona metrów sześciennych, a nie choćby dwukrotnie więcej?

Organem uprawnionym do kontroli KWK Ruda Ruch Halemba jest Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Katowicach. Wystąpiłem o udostępnienie raportów z kontroli kopalni od 2009 roku. Ile ich przeprowadzono w tym czasie (i ile niezapowiedzianych)? Jak wygląda taka kontrola i ile trwa? Czy stwierdzono jakieś nieprawidłowości? Jakie konsekwencje wyciągano wobec kopalni, czy wyznaczono jakieś kary? W odpowiedzi dostałem wezwanie do wykazania, że udostępnienie tych informacji publicznym jest „szczególnie istotne dla interesu publicznego”. Rzecznik WIOŚ Katowice poinformował, że mój wniosek obejmuje swoim zakresem kilkadziesiąt kontroli, przy czym dokumentacja znacznej części z nich znajduje się już w archiwum albo wręcz upłynął okres jej archiwizacji. Co gorsza, dokumenty te, każdy po kilkadziesiąt lub kilkaset stron, znajdują się w kilku komórkach

organizacyjnych, wymagałyby analizy dokumentacji źródłowej, skanowania, anonimizacji danych. „Tego rodzaju zbiór informacji nie istnieje bowiem na dzień złożenia wniosku. Udostępnienie informacji w oczekiwanym kształcie będzie powodowało zaangażowanie znacznych środków osobowych po stronie Organu”. Wynikałoby z tego, że inspekcja nie zna odpowiedzi na moje pytania, nie ma kompleksowej bazy danych. Jak może zatem skutecznie pełnić swoją funkcję?

Są kopalnie, których pozwolenia obejmują jeszcze większe zrzuty i jeszcze wyższe stężenia. W przypadku KWK Silesia dopuszczono stężenie chlorków rzędu 45 gramów na litr, a kopalnia KWK Piast zrzucająca ścieki do Gostyni (dopływ Wisły) uzyskiwała od marszałka Województwa Śląskiego w Katowicach pozwolenie na stężenie chlorków na poziomie 63,2 grama na litr. W litrze wody z Bałtyku średnio znajduje się 7 gramów soli – mniej więcej zawartość łyżeczki do herbaty.

Choć raport rządowy, który ukazał się po katastrofie z 2022 roku, wskazywał na zasolenie jako jedną z przyczyn, nie definiował jednoznacznie jego źródła. Ale od listopada 2022 do stycznia 2023 roku Fundacja Greenpeace Polska przeprowadziła wiele badań, które miały wykazać związek między zrzutami wód kopalnianych a katastrofą na Odrze. Pobrano próbki wód ze zrzutów z trzech kopalni w dorzeczu Odry oraz pięciu w dorzeczu Wisły, a także w kilku miejscach w samych rzekach. Sprawdzano między innymi przewodność elektrolityczną. To prosty sposób pomiaru zasolenia, bo wraz z jego wzrastającym poziomem rośnie zdolność wody do przewodzenia energii elektrycznej. Wyniki badań opublikowano na początku marca 2023 roku.

Rozmawiam z profesorem Leszkiem Pazderskim, chemikiem z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika odpowiedzialnym za badania dla Greenpeace'u. – Pierwsze próby badań przewodności elektrolitycznej zakończyły się niepowodzeniem – opowiada. – Mieliśmy urządzenie ze skalą do 20 tysięcy mikrosimensów (μS) na centymetr, którego używamy do badań wód powierzchniowych i ścieków przemysłowych. Woda w Bałtyku ma przewodność na poziomie 12,5 tysiąca mikrosimensów na centymetr.